

Alfabet Szewacha Weissa

Największy przyjaciel Polski wśród izraelskich polityków, były przewodniczący Knesetu i ambasador Izraela w Warszawie, wspomina ludzi, którym zawdzięcza życie i ważne chwile swojej kariery publicznej.



Szewach Weiss

autor zdjęcia: Rafał Guz, źródło: Fotorzepa Szewach Weiss 24-12-2009, ostatnia aktualizacja 25-12-2009 08:47



Dawid Ben Gurion



Jaser Arafat, źródło: AP,

Jego żona Suha była w ciąży. – Mam nadzieję, że pana córka urodzi się już w pokojowym świecie – powiedziałem, gdy ramię w ramię pierwszy raz w życiu zasiedliśmy przy jednym stole. Siedziałem tak blisko człowieka, który miał krew na rękach i osobiście wydawał rozkazy mordowania Izraelczyków. Który dla każdego Izraelczyka był symbolem terroryzmu. Arafat był w szoku. – A skąd pan wie, że będę miał córkę? – spytał. – Mam prywatnego szpiega – zażartowałem. Był

nim doktor Ahmad Tibi, wtedy arabski poseł w izraelskim parlamencie, dziś wiceprzewodniczący Knesetu. Od niego się dowiedziałem.

– Zdradził sekret! Już ja mu powiem! – wykrzyknął Arafat. Odpowiedziałem: – Ależ proszę się nie martwić i być szczęśliwym. Ja też mam córkę. Ma na imię Ifat. Jest moim pierwszym dzieckiem i jestem szczęśliwy, że mam córkę. Córka oznacza pokój.

Suha była taka szczęśliwa, że tak go przekonuje!

Rozmawialiśmy w Oslo, gdzie w 1994 roku Arafat, ówczesny premier Izraela Icchak Rabin i szef MSZ Szymon Peres odbierali Pokojową Nagrodę Nobla. Ja, jako przewodniczący Knesetu, polecałem tam razem z Rabinem. Do dziś pamiętam tamtą kolację. Owalny stół, a przy nim: Rabin i jego małżonka Lea, Szymon Peres wraz z małżonką Sonią, pani premier Norwegii z mężem, przewodnicząca norweskiego parlamentu. Arafat z żoną Suha. I ja. Pamiętam uścisk jego dłoni. To było bardzo dziwne uczucie...

Arafat zaczął zadawać pytania po angielsku. Mówił, że tworzy palestyński system parlamentarny i ciekawi go nasz, izraelski. – Proszę, tu siedzi przewodniczący parlamentu. On jest politologiem – powiedział Rabin, po czym zwrócił się do mnie: – Szewach, daj nam teraz krótki kurs systemu politycznego.

I dałem. Po dziesięciu minutach Arafat zapowiedział, że przyśle do mnie jednego ze swoich doradców. Co rzeczywiście potem uczynił.

Był taki wzruszony, gdy po kolacji Jemenka Ofra Haza zaczęła śpiewać hebrajskie i arabskie pieśni. Siedzieliśmy razem, Rabin nawet na schodach, bo zabrakło miejsca. A potem ja chwyciłem harmonijkę ustną i powiedziałem: – A teraz modlimy się. I zaśpiewałem Avinu Malkienu. Ojciec nasz, wybac nam wszystkie nasze grzechy. Wszyscy śpiewali, bili brawo. Arafat naprawdę był wzruszony.

Tamten dzień napawał nas nadzieją na szybki pokój. Każdy z nas to czuł. Ale nie wszyscy posłowie w Knesecie godzili się na umowy pokojowe z Palestyńczykami. Zamiast pokoju nastąpił czas palestyńskiego terroryzmu. Było tylu zabitych!

Kolejne spotkania z Arafatem były już poważne i nerwowe. – Tak nie może dalej być – mówił mu Rabin. On odpowiadał: – To nie ja.

Po zabójstwie Rabina w 1995 roku przyjechał z kondolencjami. Ostatni raz widzieliśmy się jeszcze w 1996 roku. Na granicy Izraela, gdzie na spotkanie z nim zabrał mnie premier Szymon Peres. Przygotowaliśmy orientalne jedzenie. Był kuskus, sałatki. Zero mięsa, bo nie każdy lubi. Ale to były bardzo trudne rozmowy. – Rządź! To się

może źle skończyć. Jak będą zamachy, pokoju nie będzie – mówił mu Peres. Bezsukutecznie. Arafat zmarł w 2004 roku. Pokoju nie ma do dziś.

Dawid Ben Gurion

– Skąd jesteś? – spytał. – Z Borysławia – odpowiedziałem. – Ja też z Polski – powiedział. Gdy dodałem, że przeżyłem Holokaust, zapadło milczenie. Dwie, może trzy minuty. Po czym powiedział, że dziś Borysław leży na Ukrainie. – Ale Płońsk zawsze będzie w Polsce – powiedziałem. A on się zaśmiał, bo pochodził z Płońska. Jego ojciec uczył tam hebrajskiego.

Tamtego dnia – w 1965 roku – spotkaliśmy się pierwszy raz w życiu. Ben Gurion – twórca Państwa Izrael – miał wtedy prawie 80 lat. Nie był już premierem, zakładał nową partię Rafi. Poszedłem na spotkanie w Hajfie, do hotelu Dan Carmel. Patrzyłem i myślałem: „Mój Boże, co ten człowiek zrobił dla nas”. Patrzyłem na jego ręce. Był już starszym człowiekiem, ale ręce miał piękne jak pianista. I twarz jak Mesjasz. Siwe, dłuższe włosy. Z tyłu łysy. Miał taką charyzmę!

Rozpoczęła się dyskusja o tym, że trzeba zmienić system polityczny, bo w Izraelu jest za dużo partii. Zasugerowałem, że może ze zmianami poczekać jedno pokolenie. – Ja całe życie robię rewolucję ewolucyjnie. Ale tym razem potrzebna jest rewolucja – powiedział Ben Gurion. Rozmawialiśmy jeszcze ze dwie godziny. Aż przyszła jego żona Pola i powiedziała: – Ben Gurion, już dosyć! I zabrała go z hotelu.

Ben Gurion był dla nas tym, kim Piłsudski dla Polski, a Waszyngton dla USA. To on postanowił, że będzie Państwo Izrael, w którym wszyscy będą używać języka hebrajskiego. Walczył z jidysz, choć bardzo dobrze go znał, tak samo jak polski i rosyjski. Kiedy do Izraela przyjechał jego brat z rodziną, nie rozmawiał z nim, dopóki ten nie nauczył się hebrajskiego. Jako minister obrony zmusił wszystkich oficerów do zmiany nazwiska na hebrajskie. Bez zmiany nie można było awansować. Raz zadzwonił do dyrektora fabryki tekstyliów Jakowa Goeringa: – Od jutra jesteś ministrem handlu, ale nie chcę Goeringa w rządzie. I Goering zmienił nazwisko na Geri.

Dzięki jego ruchowi syjonistycznemu jako dziecko zostałem nielegalnie przewieziony do Palestyny. Trafiłem do internatu, przy którym była szkoła rolnicza, bo syjoniści chcieli zmienić strukturę społeczną i bardziej wrócić do ziemi. Byłem traktorzystą, jeździłem na ursusie.

Doskonale pamiętam 14 maja 1948 roku. Nie miałem jeszcze 13 lat. Jestem w przepięknej szkole-internacie Hadassim, a moim nauczycielem jest Michael Kasztan. Tego dnia Kasztan bierze radioodbiornik ze swego mieszkania i wystawia go na zewnątrz. Wokół siada 200 dzieci. O godzinie 16 słyszymy głos Ben Guriona. Ogłasza powstanie państwa Izrael. Do dziś słyszę te słowa! Ten głos! Ben Gurion był dla nas wszystkim.

Ale tamtego wieczora postanawiamy powtórzyć uroczystość. I Michael Kasztan wybiera mnie. Pamiętam, że miałem krótkie spodenki w kolorze khaki. Jest godzina 18. Zbieramy się na apelu. W Hadassim była wysoka, 26-metrowa wieża ciśnień i I Michael Kasztan mówi: – Stamtąd przeczytasz deklarację.

Bałem się wejść. Ale nie powiedziałem tego. Wszedłem i przeczytałem do mikrofonu. To była moja pierwsza walka o niepodległość.

Bill Clinton

– Szymon, pomóż! – zawołałem do Peresa, bo nie potrafiłem zawiązać muchy. Byliśmy w hotelu i czekała nas kolacja w Białym Domu. Wcześniej Amerykanie zrobili nam przymiarkę smokingów. Pierwszy raz miałem na sobie smoking!

Ale Peres, zawsze pięknie ubrany, nie widział problemu. – Pewnie – powiedział i zawiązał mi muchę.

To był lipiec 1994 roku. Przylecieliśmy z Rabinem do Waszyngtonu, by podpisać deklarację waszyngtońską, która kończyła trwający od 46 lat stan wojny między Izraelem i Jordanią. W Białym Domu był też król Jordanii Husajn. Ale przed kolacją zdążyliśmy jeszcze wejść do Muzeum Holokaustu. I tam szok. Patrzę na zdjęcie tuż przy wejściu, po lewej stronie. Łapanka w Borysławiu. Wrzucają Żydów na samochód, a za godzinę zabijają w lesie. Myślę: „Ja, dziecko z Borysławia. Dziś jestem tu jako przewodniczący Knesetu i podpisuję umowy pokojowe. A może na tym samochodzie był mój dziadzio?”. Bo podpis pod zdjęciem mówił, że to trzeci pogrom. A w nim został zamordowany mój dziadzio Icyk. Podczas kolacji opowiedziałem o tym Clintonowi. Widziałem, że był bardzo wzruszony.

A kolacja była niezwykła. Siedziałem przy jednym stole z senatorem Joe Liebermanem, Żydem, i szefem Rezerwy Federalnej USA Alanem Greenspanem, też Żydem.

Greenspan pyta, skąd jestem. – Z Borysławia – mówię.

– To ciekawe, a moja rodzina pochodzi z Buczacza.

– To przecież takie ważne miasto! Z Buczacza pochodzi laureat literackiego Nobla Szmuel Josef Agnon. I Szymon Wisenthal też! – wykrzyknąłem.

– A u was w Borysławiu była nafta. A z Drohobycza pochodzi Maurycy Gotlieb i Bruno Schulz – powiedział.

– Nie tylko. Również David Horowitz, legendarny prezes banku narodowego w Izraelu.

– Znam go – powiedział Greenspan. – Spotkaliśmy się.

Wszyscy szybko przeszliśmy na jidysz.

Okazało się, że Clinton bardzo lubi banany. Dowiedzieliśmy się o tym, gdy 26 października 1994 roku to on z kolei miał przyjechać do Izraela, by uczestniczyć w podpisaniu porozumienia między Izraelem i Jordanią. I przygotowaliśmy mu z żoną te banany. Piękny kosz bananów, które zamówiłem w kibucu koło Jeziora Tyberiadzkiego. Tam rosną najlepsze banany w Izraelu.

Porozumienie podpisaliśmy w porze obiadowej na pustyni Arava koło Eliatu, na granicy izraelsko-jordańskiej. Król Jordanii Husajn miał niedaleko swój pałac. Tam postanowiliśmy przenieść nasze dalsze rozmowy o pokoju. I nagle podjeżdżają dwa jeepy. Jeden prowadzi sam Husajn, drugi jego brat Hassan. Jedziemy: Clintonowie, Weissowie, Rabinowie, Peres, ówczesny sekretarz stanu USA Christopher Warren i prezydent Izraela Ezer Weitzman. Zjedliśmy tam przepyszny, orientalny obiad.

Potem rozmawiamy, rozmawiamy... I nagle widzę, że Clinton przebiera nogami. Właśnie mówił Peres – pięknie, ale trochę za długo. – Szymon, wydaje mi się, że on się śpieszy – szepnąłem.

I rzeczywiście tak było, bo wieczorem miał wygłosić przemowę w Jerozolimie. – Panie prezydencie, my czekamy na pokój dwa i pół tysiąca lat. Niech nam pan da jeszcze pięć minut – powiedział Weitzman.

Clinton zaśmiał się i powiedział: – Masz siedem.

W tym czasie moja żona zapoznawała się z Hillary, która tego dnia miała urodziny. Ester przygotowała dla niej ciasto. Kupiliśmy też w antykwariacie w starej Jerozolimie książkę Marka Twaina, który w 1867 roku odwiedził Palestynę i o niej pisał. Przeczytałem fragment, w którym Twain opisuje, dlaczego Jezus przeszedł na piechotę Jezioro Tyberiadzkie: „Byłem tam. Rybacy powiedzieli mi, ile biorą za pożyczanie łódki. Teraz rozumiem, dlaczego przeszedł na piechotę”. Ależ się śmiali.

Ponad rok później przyjechali na pogrzeb Rabina. – Szalom Haver, żegnam Cię, przyjacielu – powiedział wtedy Clinton. I płakał. Jestem pewien, że każdy z nas pamiętał tamtą kolację u Husajna. I tamtą nadzieję na pokój.

Aleksander Dubczek

Nie mówił po angielsku, ale się dogadaliśmy. On po słowacku, ja po polsku. – Uwielbiamy pana. I w pełni solidaryzujemy się z narodem Czechosłowacji – powiedziałem mu. Byłem wtedy posłem obserwatorem przy Radzie Europy. On był przewodniczącym Zgromadzenia Narodowej Czeskiej i Słowackiej Republiki Federacyjnej. W Radzie Europy miał wygłosić przemowę i wszyscy bardzo na ten dzień czekali. Ja przygotowałem się do niego już wcześniej i wziąłem ze sobą płytę Arika Einsteina. To jeden z naszych najsłynniejszych piosenkarzy. Taki izraelski Ives Montand, pochodzi z rodziny polskich Żydów. I on – solidaryzując się z Czechosłowacją – napisał pieśń, która w Izraelu stała się tak popularna jak „Nie płacz, Argentyno”. I Praga w niej była, i Dubczek.

W 1968 roku w Izraelu wytworzyła się nienawiść do polskiego rządu i polskiego narodu. Ale z Czechosłowacją było zupełnie odwrotnie. Z naszego punktu widzenia Praga była symbolem demokracji w Europie Środkowej i Wschodniej. Ale potem zapanowały tam tak dziki komunizm i totalna dyktatura, że nawet izraelskie partie socjalistyczne zaczęły zmieniać nurt – byle dalej od komunizmu. Dlatego Dubczek, który chciał zreformować komunizm, który był przywódcą Czechosłowacji podczas praskiej wiosny, stał się w Izraelu legendą.

Bardzo solidaryzowaliśmy się z Czechosłowacją, ale i ona zawsze była do nas przyjacielsko nastawiona.

Do dziś pamiętam, jak Dubczek wszedł wtedy na salę obrad Rady Europy. Po jego przemowie podszedłem do niego i dałem mu płytę Arika Einsteina. Nie znał jej i bardzo się zdziwił, ale wziął ją do domu. – Podczas wojny o niepodległość Czechosłowacja bardzo nam pomogła, bo sprzedawała nam karabiny, które stały się symbolem naszej niepodległości. Sprzedawali nam też niemieckie meserszmity – powiedziałem mu. To było nasze jedyne spotkanie. Zmarł w 1992 roku.

Do dziś relacje Izraela z Czechami są bardzo dobre. Podobnie jak z Polską. Ale ze Słowacją już nie.

Marek Edelman

Raz, jako ambasador w Polsce, zaprosiłem go do mojej rezydencji na Mokotowie. Moja żona przygotowała żydowski obiad: rosół, domowe

makarony, pierogi, barszcz po żydowsku, czulent. Ale najważniejsze było to, że Edelman z moją żoną rozmawiali w jidysz – języku większości Żydów w Polsce, który był o wiele popularniejszy niż język hebrajski. Rozmawiali przez trzy godziny, na mnie nie zwracając uwagi. Moja żona spytała go m.in., dlaczego nie był dowódcą podczas powstania w getcie. – Bo Mordechaj chciał nim być – powiedział.

Edelman był dla mnie legendą, choć w Izraelu nie był oficjalnie uwielbiany, gdyż nie był syjonistą. Od dzieciństwa mnie to denerwowało. Taki bohater! Taki człowiek świata! To, co zrobił, to dla mnie szczyt odwagi, której ja nie mam. Edelman przyjeżdżał do Izraela, do swojego kibucu im. Bohaterów Getta. Ale ja poznałem go dopiero w Polsce w 1993 roku, gdy jako przewodniczący Knesetu przyjechałem z delegacją premiera Icchaka Rabina. Spotkaliśmy się na obiedzie u prezydenta Lecha Wałęsy. To było bardzo wzruszające spotkanie. Potem wydarzyło się coś niezwykłego. Edelman nie był syjonistą i krytykował Państwo Izrael, ale Lech Wałęsa postanowił, że będzie jednym z mówców, który wystąpi podczas uroczystości z okazji 50. rocznicy powstania w getcie warszawskim. To nie spodobało się syjonistom. Lech Wałęsa zrobił zatem coś innego. Idąc złożyć wieniec, wziął za rękę Edelmana, a za drugą – jego wnuczkę. To był wspaniały widok. Byłem taki szczęśliwy. Podszedłem do Wałęsy i bardzo mu za to podziękowałem. Potem, będąc już ambasadorem w Warszawie, postanowiłem, że za każdym razem, jak pojedę do Łodzi, to spotkam się z Markiem Edelmanem. Żył w skromnym mieszkaniu. Trzy, cztery pokoje. Bałagan typowy dla intelektualistów, ale czysto. Miło było z nim rozmawiać przy kieliszku koniaku. To były takie filozoficzne rozmowy. Był trochę snobem, bo mówił, że BenGurion był z małego miasteczka Płońska, a on pochodził z Łodzi. Do przeszłości wracał tylko wtedy, gdy go o to pytałem. Był bardzo zainteresowany teraźniejszością. Z ogromnym smutkiem przyjąłem niedawną wiadomość o jego śmierci.

Jack Fliderbaum

Ma ponad 80 lat i sam prowadzi samochód. Zawsze elegancko ubrany. W Izraelu gorąco, a on w krawacie! To polski konsul honorowy w Tel Awiwie. Podczas II wojny światowej był pilotem w Wielkiej Brytanii. Prawdziwy bohater, bo jest jednym z tych Żydów, którzy walczyli i pokazali, że Żydzi wcale nie szli jak barany na śmierć, co latami nam wytykano.

W czasie wojny walczyło ponad milion Żydów. W armii radzieckiej – 450 tysięcy. W polskich armiach – 80 tysięcy. W amerykańskiej – 150 tys. W australijskiej – 20 tys....

Jack był jednym z nich. Jest też jednym z tych, który nigdy nie zapomniał pięknej polszczyzny. I jednym z tych, dzięki którym odkryłem Polskę. Poznaliśmy się, gdy byłem ambasadorem w Polsce. Ale był tak skromny, że nawet nie wspomniął o swojej przeszłości.

To on stworzył na UW Centrum Badania i Nauczania Dziejów i Kultury Żydów w Polsce im. Mordechaja Anielewicza. Do dziś jest strażnikiem polskiej kultury. Popiera każdą inicjatywę z nią związaną, wspomaga Instytut Polski w Izraelu, pomaga organizować wystawy.

Ja, gdy wyjechałem z Polski, miałem 11 lat i nie mówiłem po polsku. Nigdy nie chodziłem do polskiej szkoły. W Borysławiu przez rok byłem w ukraińskiej. W Wałbrzychu, dokąd wyjechaliśmy po wojnie, do szkoły chodziłem tylko przez dwa tygodnie. Dlatego jak wyjechałem z Polski, mówiłem po ukraińsku i w jidysz. Szybko nauczyłem się hebrajskiego. Polskiego jednak nie znałem. Fliderbaum stał się dla mnie przykładem szlachetnej kultury polskiej. Do dziś jest moim przyjacielem i traktuję go jak brata. Kilka razy w roku spotykamy się w polskiej ambasadzie z okazji różnych świąt. Mamy tam taki nieformalny klub polski, którego nieoficjalnym szefem jest właśnie Jack. Ambasada zawsze zaprasza kilkuset Żydów pochodzących z Polski. Spotykamy się tam i rozmawiamy po polsku. Plotkujemy, opowiadamy dowcipy, załatwiamy interesy. Wszyscy bardzo lubią być razem. Lubią mówić po polsku i lubią wrócić do polskiego jedzenia – bigosu, żurku, barszczu, żubrówki. To taka nasza nieoficjalna polska kolonia.

Bronisław Geremek

W 2003 roku, na zakończenie mojej służby ambasadorskiej w Warszawie, pani ambasador Słowacji postanowiła zrobić niespodziankę. Magda Vasaryova była wtedy szefową klubu ambasadorów mówiących po polsku i zaprosiła na obiad do swojego mieszkania mnie, ówczesnego ministra spraw zagranicznych Włodzimierza Cimoszewicza oraz byłych szefów dyplomacji Władysława Bartoszewskiego i Bronisława Geremka.

Siadamy do stołu, a ona wchodzi w fartuchu i mówi, że sama ugotowała obiad.

– Przygotowałam coś specjalnego. Specjalną zupę – podkreśla.

– Jaką zupę? – pyta Geremek.

– Farfalki.

Na co Geremek szybko: – Jakie farfalki! Ferfalach!

To taka typowa zupa polskich Żydów. W jidysz nazywa się ferfalach.

Bartoszewski spojrział na niego rozbawiony. – I ty mówisz, że nie jesteś Żydem? – zaśmiał się. – Ja nigdy tego nie powiedziałem – odpowiedział Geremek. To było piękne.

Geremek był bardzo znany w Izraelu jako historyk i wybitny naukowiec. Jeszcze przed czasami „Solidarności” był zapraszany do Izraela na wykłady. Bywałem na nich i wtedy się poznaliśmy.

W 1990 roku przyjechałem do Warszawy na spotkanie Rady Europy. Byłem w polskim Sejmie i poczułem, że łapie mnie grypa, podszedłem do Geremka i mówię: – Panie profesorze, źle się czuję.

Natychmiast zaprowadził mnie do lekarza sejmowego. – Spotka pan kogoś ciekawego – powiedział. I co się okazało? Lekarz pyta, skąd jestem. Jak mówię, że z Izraela, on reaguje natychmiast: – To możemy mówić w jidysz.

Polski Sejm, a ja rozmawiam w jidysz!

Z Geremkiem prowadziliśmy też takie rozmowy filozoficzne. Jak ta w 2001 roku, gdy do Polski przyjechał izraelski teatr Hakameri z „Requiem”. Siedzimy obok siebie, a on cały czas powtarza: – To nie jest żydowskie. To polskie. To taka polska melancholia.

– Nie, to żydowskie – przekonywałem. I tak sobie rozmawialiśmy o melancholii. Został pochowany na cmentarzu chrześcijańskim, ale to mi nie przeszkadza. Jestem dumny, że z pochodzenia był Żydem. Ale religię każdy może sobie wybrać.

Hirohito

Jego pałac był ogromny. I ogromna była też sala, do której nas wprowadzono. Może sto na sto metrów. Przepiękny zielony dywan i przepiękne zielone firany, ale ciemniejsze. I nic poza tym. Gdzieś na końcu stał tylko mały stolik i pięć krzeseł. Byłem z żoną Ester. Gdy podeszliśmy bliżej, wszedł cesarz z małżonką. I jego wujek, profesor hebraistyki i starożytnej historii żydowskiej. – Cesarz chce się spotkać, bo czytał twój życiorys. A jego wujek czytał, że twoja żona jest profesorem starej historii żydowskiej i chce z nią porozmawiać na tematy naukowe – powiedział mi wcześniej izraelski ambasador w Tokio. Był 1998 rok. Ester rzeczywiście napisała doktorat o stworzeniu państwowości w tamtych czasach. O tym, jak z plemion powstawało państwo.

Zanim jednak pojawiliśmy się w pałacu, przeszliśmy szkolenie, jak się zachowywać, jak wchodzić do sali, jak się ubrać. Miało być klasycznie, skromnie i naturalnie. Ta skromność bardzo mi się podobała. Na stole stała woda. Nie było żadnego poczęstunku, żadnego obiadu. Nie wolno było fotografować. Żadnych żartów.

Spotkanie zaplanowano na 15 minut, a trwało 55! Rozmawialiśmy po angielsku. Cesarz pytał o mój życiorys, o Izrael. Jego małżonka prawie się nie odzywała. Powiedziała tylko kilka słów do Ester, ale bardzo cicho. Za to jaka była rozmowa między Ester a profesorem! Rozmawiali większość czasu, a i cesarz bardzo się tym ciekawił. Ester była bardzo religijna. Profesor też. Dlatego ich rozmowa była bardziej wartościowa niż moja z cesarzem.

Ale to nie Hirohito zaprosił mnie do Japonii. Pojechałem tam, by w imieniu Yad Vashem wręczyć nagrodę Sprawiedliwy wśród Narodów Świata żonie dawnego konsula Japonii na Litwie. Wystawiając dla nich wizy, Chiune Sugihara uratował w Wilnie kilka tysięcy polskich i litewskich Żydów, którzy wyjechali m.in. do Japonii i USA. I odwiedziłem też Hiroszimę. To było niezwykle przeżycie. Ja dziecko Holokaustu stoję w miejscu, gdzie zginęło 150 – 200 tysięcy niewinnych ludzi.

Martin Indyk

W 1998 roku przebywałem w Australii na zaproszenie organizacji żydowskich. I nagle podchodzi do mnie przystojny mężczyzna. Wyciąga rękę.

– Jestem Indyk – mówi.

– A ja jestem kura – odpowiadam, bo zrobiło się dość zabawnie. Na co on odpowiada: – Według Darwina wszyscy jesteśmy małpami.

Okazało się, że to ojciec amerykańskiego ambasadora w Izraelu Martina Indyka (1995 – 1997). Pochodzi z Radomia. Uratowany z Holokaustu, wyjechał do Londynu. Tam urodził się jego syn. Potem cała rodzina wyjechała do Australii, ale Martin w latach 90. wyemigrował do USA, tam osiadł i dostał amerykańskie obywatelstwo.

Natychmiast przeszliśmy na jidysz.

Jego syn był bardzo dobrym ambasadorem. A w relacjach izraelsko-amerykańskich to bardzo ważne stanowisko. Zazwyczaj ambasador USA ma osobiste kontakty z premierem i prezydentem. I tak było w tym przypadku.

Jako przewodniczący Knesetu uczestniczyłem we wszystkich spotkaniach z Indykiem. Rabin zawsze rozmawiał z nim po angielsku.

Ale był problem z dowcipami w jidysz. Kiedy Martin chciał jakiś opowiedzieć, zawsze byłem tłumaczem na hebrajski. Pamiętam jeden do dziś. Rozmawialiśmy o tym, kiedy wreszcie będzie pokój. I wtedy Martin powiedział, że czas i stosunek do niego jest względny. – Ja ci opowiem coś o czasie – powiedział do Rabina: dwóch znanych izraelskich satyryków Dzigani i Szumacher przyjechało do Londynu. Jadą autobusem. I Dzigani mówi do Szumachera: „Wiesz, kiedy ostatni raz jechaliśmy na tej linii, w autobusie był William Szekspir”. Na co Szumacher: „Co ty, on zmarł 400 lat temu”. Dzigani: „Ależ ten czas szybko leci”.

A pokoju w Izraelu nie ma od ponad 2 tysięcy lat.

Jan Paweł II

Miał bardzo silny uścisk dłoni. Wiedziałem, że kiedyś był sportowcem. Spytał, skąd jestem.

– Ach, Borysław. Tam jest nafta, niedaleko rafineria w Drohobyczu. A w Truskawcu jest woda mineralna Naftusia. To dość daleko. Prawie 500 kilometrów od Wadowic – powiedział. Wieczorem sprawdziłem na mapie. Dokładnie 524 kilometry! To było niesamowite.

Gdy w 2000 roku przybył z pielgrzymką do Izraela, czekał na niego cały naród. Wszyscy go kochaliśmy. To był papież, który robił wszystko na rzecz zbliżenia Żydów, chrześcijan, Polaków. Zawsze podkreślał, że jesteśmy starsi bracia.

Pamiętam, jak przybył na lotnisko im. Dawida Ben Guriona – Żyda pochodzącego z Płońska. Powitał go premier Ehud Barak, którego rodzina wywodzi się z Polski, a także ówczesny rabin naczelny Izraela Meir Lau pochodzący z Piotrkowa Trybunalskiego oraz przewodniczący Yad Vashem i były przewodniczący Knesetu Szewach Weiss – również pochodzący z Polski.

W Yad Vashem spędziliśmy razem cztery godziny. Ramię w ramię. Byliśmy tak blisko siebie. Widziałem łzy w jego oczach, gdy przechodziliśmy obok mapy śmierci, na której widnieją nazwy obozów zagłady. Wiedziałem, co wtedy czuł. Ogromny ból i wstyd za to, że taka tragedia mogła wydarzyć się w chrześcijańskiej Europie. Kilka minut trzymał moje ręce w swoich.

Pamiętam nieoficjalne spotkanie z Barakiem. Premier powiedział Janowi Pawłowi II, że wysłał mnie na służbę dyplomatyczną do Polski.

– O fajnie, fajnie – odpowiedział papież. Wtedy Barak spytał, jak papież ocenia moją znajomość polskiego. – Dość dobrze, ale będzie lepiej – odpowiedział Jan Paweł II.

Trzy dni trwało wtedy święto papieża w Izraelu. Naród go uwielbiał. Gdyby wtedy były wybory w Izraelu i papież by kandydował, to Jan Paweł II otrzymałby wynik stalinowski – 99 procent poparcia. Do dziś jest to najpopularniejszy Polak w Izraelu. Podczas tamtej pielgrzymki ktoś wyjął karteczkę, którą Jan Paweł II zostawił w Ścianie Płaczu. Nieładnie się stało. Na karteczce była napisana modlitwa o pokój. Po wizycie w Jerozolimie jeszcze bardziej urósł w naszych oczach.

Jan Karski

Bez problemu pokonał 64 schody prowadzące na drugie piętro do mojego mieszkania w Hajfie. Swobodnie wchodził co dwa stopnie, a ja tylko co jeden. A miał już 80 lat.

– Czy mogę pomóc? – spytałem. – Nie, nie. Nie trzeba – odpowiedział.

Wyglądał jak amerykański aktor. Był niezwykle przystojnym, wysokim, pięknie i elegancko ubranym mężczyzną.

Do Izraela przyjechał w 1994 roku. Był moim gościem w Knesecie, potem miał też odwiedzić kibuc stworzony przez powstańców z getta warszawskiego, Lochamej Hagatot położony na północy Izraela. Ale po drodze wstąpił do mnie. Ekipa telewizyjna nagrała wtedy naszą rozmowę.

Karski robił niezwykle wrażenie. Siedziałem obok człowieka, który chciał mnie uratować! Nas, Żydów! To człowiek, który powiedział Zachodowi o eksterminacji żydowskiego narodu. Został dopuszczony do prezydenta USA Franklina Delano Roosevelta, by osobiście opowiedzieć mu o tym, jak systematycznie dokonywana jest zagłada Żydów.

Bardzo byłem ciekaw tego spotkania z Rooseveltem. Karski opowiedział mi, że Roosevelt nie słuchał go zbyt uważnie i raczej był zniecierpliwiony. Próbował przechodzić na inne tematy. Na przykład spytał, czy ludzie w Polsce nadal jeżdżą furmankami. – Jako Polak czułem się obrażony i poniżony – powiedział Karski.

Bo to ze strony Roosevelta nie była tylko wulgarna próba odwrócenia uwagi. On po prostu obrażał polski naród. On nie zapytał, czy jeszcze używają furmanek we Francji, choć tam używali ich jeszcze więcej niż w Polsce. Ja też jako Żyd i Polak poczułem się urażony.

Karski opowiedział również o spotkaniu z Winstonem Churchillem. I niestety, brytyjski przywódca też nie słuchał go cierpliwie.

Po śmierci Karskiego w 2000 roku byłem w Kielcach, gdzie wystawiono mu pomnik. Od niedawna pomnik Karskiego stoi też w Tel

Awiiwie. To zasługa Jacka Fliderbauma, który był w nim zakochany. Cały czas starał się o to, żeby w Izraelu powstał i pomnik, i ulica imienia Karskiego. Z tym drugim jest jednak większy problem, bo nikt nie chce zmieniać nazw obecnych ulic. Ale ulica Jana Karskiego jest w planie. Władze miasta czekają tylko na powstanie nowej dzielnicy.

Julia Lasotowa

Była naszą ukraińską sąsiadką w Borysławiu, która uratowała nam życie. Po pierwszym pogromie Żydów mój ojciec na wszelki wypadek przygotował kryjówkę, w której spędziliśmy osiem miesięcy, między ścianą naszego sklepu a ścianą magazynu. Pomieszczenie było bardzo wysokie, ale wąskie na 60 centymetrów. Ojciec zrobił tam prycze, jedna nad drugą. Miejsca było tak mało, że można było tylko leżeć. A ukrywało się nas tam dziewięć osób: ja, moi rodzice, brat, siostra, siostra mojej mamy z mężem i synem i nasz sąsiad.

A pani Julia Lasotowa zamieszkała wtedy w naszym domu i przez takie małe, uchylne drzwiczki dostarczała nam chleb, kartofle, herbatę. Czasem zupeł. Nikt oprócz niej nie wiedział, że tam się chowamy. Z wyjątkiem pani Potężnej i jej syna Tadka, którzy też nam pomagali. Tadek wynosił np. nasze nieczystości.

Potem, gdy przenieśliśmy się do piwnicy, w której spędziliśmy 21 miesięcy praktycznie na kolanach, bo nie sposób było stać, tak była niska, Tadek przynosił nam chleb. Właściwie wrzucał przez małe okienko.

Pani Lasotowa pracowała wtedy w sklepie i dawała mu kartki na chleb. Ale i ona sama podchodziła pod okienko, śpiewała i wtedy wiedzieliśmy, że to ona. Przynosiła jedzenie, gazety. Do dziś pamiętam okładkę jednej z nich, na której było zdjęcie miss Turcji. Pamiętam też twarz tej Turczynki.

Z tamtych czasów ocalała jedna z karteczek, które ojciec przekazywał pani Lasotowej. Prosił w niej o 10 – 12 bochenków chleba, 40 kg ziemniaków i 4 litry benzyny.

Pani Julia miała syna Józka, który był ukraińskim żandarmem i współpracował z Niemcami. Nie mam pojęcia, czy wiedział, że ona nas ukrywa. Czasami widzieliśmy przez to okienko, jak wraca w mundurze, czasem na koszuli miał ślady krwi.

W sierpniu 1944 roku, gdy Armia Czerwona wkroczyła do Borysławia, wyszliśmy z piwnicy brudni i zawszeni. Wyglądaliśmy jak szkielety. Pani Lasotowa przygotowała ciepłą wodę w balii i nas umyła.

Pamiętam, jak mnie głaskała, jak śpiewała ukraińskie piosenki, jak się nami opiekowała.

Ale w tej samej godzinie, gdy my wyszliśmy z piwnicy, ona schowała do niej Józka z kochanką. I to ja potem nosiłem mu chleb. Miałem 9 lat, ale bardzo się wahałem – wydać go, czy nie. I nie zrobiłem tego, bo przecież pani Lasotowa nas uratowała.

Tymczasem Rosjanie go szukali. Na pewno by go zastrzelili. Tak, jak co sobotę koło poczty rozstrzeliwali innych.

Dwa tygodnie po wyzwoleniu przyszło do nas dwóch z NKWD i pytali o Józka i panią Lasotową. Pani Julia była w naszym domu, ale mama powiedziała, że jej nie ma. Gdy uparli się i chcieli jej szukać, powiedziała, że ich nie wpuści. – Jak ją weźmiecie, ja też pójdę, i cała moja rodzina. Ona nam uratowała życie – powiedziała. Odeszli i już nie wrócili. A ojciec powiedział wtedy: – Jak nie wracają, to pewnie jeden z nich jest Żydem. A może i obaj.

Zostawiliśmy pani Lasotowej nasz dom. Nie wiemy, co stało się z Józkiem. Do 1968 roku – kiedy prawdopodobnie zmarła – wysyłaliśmy jej paczki. A w nich m.in. pomarańcze, do których ojciec wkładał dolary.

Bogdan Łoszewski

W listopadzie 2000 roku razem pojechaliśmy do Borysławia. On – reżyser. I ja, bohater jego filmu pt. „Kto zna człowieka ukrytego w ścianie”. Jest jedyną osobą, która po latach weszła ze mną do tamtej piwnicy, w której z rodziną ukrywaliśmy się przez 21 miesięcy. Nikt przez lata do niej nie wchodził. Dziś trudno wytrzymać tam nawet godzinę. Bodzio wszedł tam razem ze mną.

W tej piwnicy opowiadałem mu o moich zabawach z kuzynem Szmilem. Ja miałem sześć lat, on siedem. Mieliśmy bardzo długie włosy i wszy. Byliśmy bardzo głodni i wychudzeni, a wszy tłuste, bo jadły nas. I my z nich formowaliśmy armie. Moje wszy były armią radziecką. Szmila – armią aliantów. Mieliśmy starą mapę i encyklopedie, które mój ojciec ściągnął do piwnicy. Graliśmy o to, która armia pierwsza wkroczy do Berlina. Czołgi robiliśmy z gliny.

W piwnicy znalazłem kubek, ale jeszcze nie mówiłem dobrze po polsku, więc pokazałem go Bodziowi, a on powiedział: – Kubek. Potem znalazłem talerz, a on powiedział: – Talerz. A potem znalazłem obcas jednego buta mojej ciotki i Bodzio powiedział: – Obcas. Uczył mnie podstawowych polskich słów. Znalazłem jeszcze złamany nóż, ołówek, którym zapewne mój ojciec pisał karteczki do pani Lasotowej, sznurek

od naszej bielizny, resztki okładek z książek. Wszystkie te pamiątki przekazałem muzeum Yad Vashem.

Nad naszą kryjówką była ochronka, do której chodziłem w latach 1939 – 1941. Miałem tam śliczną koleżankę,

5-letnią Bellę, którą zamordowali w pierwszym pogromie. Gdy ukrywaliśmy się w piwnicy, ochronka nadal działała i słyszeliśmy, jak dzieci śpiewają. Jak weszliśmy tam z Bodziem, miałem ze sobą organki i zagrałem kilka piosenek, które pamiętałem z przedszkola.

W Borysławiu spędziłem półtora dnia. Nocowaliśmy w Przemyślu, bo mówiono nam, żeby w Borysławiu nie zostawiać dobrego samochodu, a my byliśmy jeepem. I tak jechaliśmy przez wsie, przez Truskawiec, Sambor – przez wszystkie miejsca, o których opowiadał mi ojciec. I cały czas rozmawialiśmy.

Odwiedziliśmy też mój stary dom, który nadal stoi w Borysławiu. Dziś mieszka w nim inna rodzina. Opowiadałem mu o pokoju, w którym się urodziłem, i który pamiętam jako sypialnię moich rodziców. Przy oknie stało moje łóżeczko. I patrząc przez to okno, czułem tęsknotę do utraconego dzieciństwa. Byliśmy też w lesie, gdzie z ojcem robiliśmy pikniki.

Bardzo się wtedy z Bodziem zbliżyliśmy. Opowiedziałem mu wszystko. Nas w tamtej piwnicy było ośmioro: ja, ojciec Meir Wolf, matka Gienia, brat Lonek, siostra Mila śp., kuzyn Szmil, który dziś żyje w Kanadzie, jego mamusia Hinda śp. i sąsiad Bachman. Kiedy 14 sierpnia 1944 roku wyszliśmy z piwnicy, pan Bachman szukał swojej żony i dwóch córeczek, ale nie znalazł i popełnił samobójstwo.

Bodzio stał się dziewiątym z nas. Gdy byłem ambasadorem w Warszawie zapraszałem go z żoną do mnie na pierożki, barszcz i smalec. Takie pierożki, jak robiła moja mama i o których mi opowiadałem.

Co ciekawe, po tym filmie piwnica stała się atrakcją turystyczną. Ludzie płacą nowemu właścicielowi 20 dolarów i wchodzi. Ale mi wcale to nie przeszkadza.

Katarzyna Chałasińska-Macukow

Wspaniała pani rektor Uniwersytetu Warszawskiego. Opowiadała mi o swoim ojcu, który był jednym z najwybitniejszych socjologów w Polsce. I on miał przyjaciela – Shmuela Noaha Eisenstadta, z którym się spotykał i pił wódeczkę, a który był moim profesorem na uniwersytecie w Jerozolimie! Był nawet moim sąsiadem. Miałem wtedy 21 lat, zakończyłem służbę w armii, wynająłem mieszkanie w Jerozolimie. I

miałem taki mały samochód Seat 500. Mogłem sobie na niego pozwolić, bo pracowałem w radiu, byłem konferansjerem, wydawałem książki dla dzieci. To była połowa lat 50. i wtedy na parkingu przed uniwersytetem nie stało zbyt wiele samochodów.

Z profesorem Eisenstadtem mieliśmy wtedy umowę. On nie miał samochodu, więc to ja podwoziłem go na uniwersytet. Profesor był tak potężny, że jak wsiadł do środka, to był większy od tego małego samochodu!

Opowiedziałem tę historię podczas obiadu, gdy Uniwersytet Warszawski pod rządami pani rektor Macukow postanowił w 2005 roku przyznać profesorowi tytuł doktora honoris causa.

Pani rektor osobiście zaprosiła mnie na tę uroczystość. Profesor Eisenstadt przybył z Izraela i wygłosił wykład. Początkowo mówił po polsku, ale potem przeszedł na angielski, mówiąc, że jego polszczyzna nie jest dobra. Ale daj Boże taką polszczyznę! Ona była piękna.

Spotykaliśmy się często z panią rektor, która jest fizykiem, i prof. Bogusławem Węglińskim, genetykiem. I ja, który ukończyłem nauki polityczne. Zawsze podkreślałem, że to takie spotkania między fizyką i metafizyką. Mój tata powtarzał: – Nie idź na te nauki polityczne. Nic nie będziesz z tego miał. Może fizyka? Chemia? Może zostaniesz dentystą?

Dopiero jak zostałem przewodniczącym Knesetu zobaczyli, że z nauk politycznych też można coś w życiu skorzystać.

A gdy kończyłem służbę ambasadorską, profesor Węgliński, który wtedy był rektorem, i powiedział: – Ty, Szewach, zostajesz w Polsce. Będziesz profesorem na UW. – Ale moja polszczyzna taka słaba, studenci będą się śmiać – mówiłem. Przekonał mnie, że będzie dobrze i zmusił do wyrażenia zgody. Profesor Macukow była wtedy jego zastępcą. Dziś jest świetną panią rektor.

Benjamin Netanjahu

Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak on, który zawsze robił wrażenie dżentelmena, mógł godzić się na taką okrutną propagandę wymierzoną w Icchaka Rabina. Ale się godził. I sam, jako lider prawicowego Likudu, stał na czele wymierzonych w niego demonstracji. Pamiętam, jak szedł na przedzie, a za nim niesiono trumnę, na której napisano: „Pokój z Fatahem oznacza dla Izraela śmierć”. Było to bardzo przykre i byłem na niego wściekły, bo wcześniej byliśmy w przyjacielskich stosunkach.

Poznaliśmy się w 1983 roku, gdy pracował w ambasadzie izraelskiej w Waszyngtonie. Potem został jednym z naszych najlepszych ambasadorów przy ONZ. Razem – on w USA, a ja w Izraelu – prowadziliśmy kampanię przeciwko Austrii, gdy się okazało, że ówczesny prezydent Austrii i były sekeratrz generalny ONZ Kurt Waldheim miał udział w Zagładzie Żydów.

I nagle taka nienawiść do Rabina, który chciał pokoju z Palestyńczykami! Zaczęliśmy się kłócić, gdy Netanjahu stanął na czele Likudu.

W październiku 1995 roku, kiedy w Knesecie trwało burzliwe głosowanie w sprawie przyjęcia umów z Palestyńczykami podpisanych w Oslo, w centrum Jerozolimy odbywała się wielka demonstracja. – Rabin morderca! Rabin zdrajca! – krzyczeli ludzie. Nieśli plakaty, na których Rabin był w mundurze gestapo. I wtedy na tarasie jednego z budynków pojawił się Netanjahu i inni przywódcy Likudu, po czym zaczęli wygłaszać ostre mowy.

Netanjahu specjalnie wyszedł wtedy z Knesetu. Jak wrócił, chciał zabrać głos jako lider opozycji. – Nie daj mu mówić! On stoi na czele tych demonstracji! – wołano.

A jednak udzieliłem mu głosu, bo nie mogłem odmówić liderowi opozycji. Rabin był na mnie bardzo zły. O 4.30 w nocy – po głosowaniu, w którym koalicja zwyciężyła – zadzwoniłem, by go przeprosić. – Szewach, jestem na ciebie wściekły. Ale jako przewodniczący nie miałeś wyboru – powiedział.

Netanjahu nie przeprosił wtedy w Knesecie. I nagle miesiąc później spotkaliśmy się w samolocie. Zupełnie przypadkowo. To był czwartek. Poleciałem do USA na zaproszenie ówczesnego przewodniczącego Izby Reprezentantów Newta Gingricha, z okazji odsłonięcia pomnika Raula Waldenberga, który uratował wielu Żydów. Chciałem zaraz wracać do Izraela, bo w sobotę miała się odbyć pokojowa demonstracja i pragnąłem w niej uczestniczyć razem z Rabinem. Wsiadam do samolotu i kogo spotykam? Netanjahu! Razem z żoną Sarą, dwójką dzieci, opiekunką. Siedzieliśmy ramię w ramię – tuż przy przejściu. W rękę trzymał właśnie wydaną książkę swojego ojca o historii Żydów hiszpańskich, a także „The Times” z piękną recenzją tejże książki. Był dumny z ojca. – Co ty robisz? – pytałem. – Zmierzacie ku katastrofie demokracji izraelskiej. Dążycie do przemocy.

Rozmawialiśmy wtedy pięć, może sześć godzin. Próbowałem go przekonać, by wpłynął na swoich ludzi. – Szewach, to kwestia

egzystencji Izraela – mówił. W sobotę, 4 listopada, Icchak Rabin został zamordowany. Razem zdążyliśmy jeszcze pojawić się na tej pokojowej demonstracji.

Tydzień później w Knesecie odbyła się uroczystość żałobna. Żona Rabina Lea zgodziła się, by udzielić głosu opozycji. Próbowałem przekonać Netanjahu, by przemawiał ktoś inny, nie on. Ale on odparł: – Nie zgadzam się, bo to wskazywałoby, że jestem winny – powiedział.

Nigdy nie przeprosił, choć był na pogrzebie Rabina i podał rękę jego żonie. A w 1996 roku wygrał wybory i został premierem.

Miałem dobre stosunki z jego żoną Sarą. Dobrze znałem jej rodziców ocalonych z Holocaustu. – Szewach, skończcie już z tym bojkotem – przekonywała. I powoli, powoli zaczęliśmy ze sobą rozmawiać.

Dzisiaj jesteśmy w przyjacielskich stosunkach, ale pozostała na nich okropna plama. Niedawno Sara proponowała spotkanie w ich rezydencji i się zgodziłem. A ostatnio, w listopadzie, w rocznicę śmierci Rabina, Netanjahu miał przemowę w Knesecie. Mówił o demokracji. Wtedy obecny na sali wnuk Rabina Noah Ben Arzti powiedział: – Tu przed nami siedzą liderzy, którzy milczeli, gdy w centrum Jerozolimy działo się coś podobnego do Nocy Kryształowej w Niemczech. Netanjahu milczał. Choć nigdy tego nie powiedział, myślę, że żałuje. Że ta zadra tkwi w nim głęboko.

Ehud Olmert

W młodości pracowałem w radiu i prowadziłem program dla dzieci i młodzieży, w którym było dużo zagadek i quizów. Program raz w tygodniu nagrywaliśmy na żywo w różnych miejscach Izraela. Co dwa miesiące trafialiśmy do wioski Binyaminy. Pewnego razu do klubu, gdzie było nagranie, przyszedł przystojny 17-letni blondyn, który odpowiadał na wszystkie pytania. Powiedział, że nazywa się Ehud Olmert. – Czy syn Mordechaja? – spytałem. – Tak – odpowiedział. Mordechaj Olmert należał w latach 50. do prawicowej partii Herut. Cała rodzina pochodziła z Chin. Przeniosła się tam z Rosji, gdy wybuchła rewolucja październikowa. Kilka tysięcy Żydów osiedliło się wtedy w Szanghaju. Potem przyjechali do Izraela.

I ten młody Ehud wygrywał wszystko. Najpierw sam, potem zaczął przychodzić z młodszym bratem Josim, który potem został profesorem – znową problematyki Bliskiego Wschodu. Obaj zgarnęli wszystkie nagrody. – Szewach, ci rewizjoniści z Herutu wygrywają wszystko. Dlaczego nie dziecko jakiegoś działacza z Partii Pracy? – pytał sekretarz lokalnych związków zawodowych, który był odpowiedzialny

za dom kultury, w którym się odbywały konkursy. – Oni są bardzo mądrzy – odpowiadałem.

Tak zaczęła się nasza przyjaźń.

Jego żona Aliza urodziła się już po wojnie i przyjechała do Izraela z Łodzi jako małe dziecko. Jest malarką i bardzo znaną pisarką. Mają trzech synów i córkę. Aliza, która jest bardzo lewicowa, nieraz była z dziećmi na demonstracjach przeciwko polityce prowadzonej przez swojego męża. A jednocześnie Olmertowie są bardzo dobrą rodziną. Zawsze bardzo dobrze się wśród nich czułem.

W 1993 roku odbywały się bardzo prestiżowe wybory burmistrza Jerozolimy. Pewnego dnia, przed wyborami, do mojego biura wkroczył – jak zwykle bardzo powoli – Ehud. – Szewach, popatrz na mnie – mówi.

– Ja się zawsze na ciebie patrzę, jesteś bardzo przystojny – zażartowałem.

– Za miesiąc będę burmistrzem Jerozolimy – oświadczył.

– Ehud, zwariowałeś? Jerozolimą od 1965 roku rządzi już Teddy Kolket, niezwykle popularny, dawny sekretarz Ben Guriona!

– Ja wygram – powtarzał. I wygrał. A dziesięć lat później został premierem Izraela. To był czas wojny libańskiej. Początkowo wszyscy go popierali, a potem odwrócili się od niego. Po dziesięciu dniach, jak zobaczyli, że wojna tak szybko się nie skończy, zaczęli go zostawiać, jak szczury uciekające z tonącego statku.

To był jeden z naszych najlepszych premierów. Nawet mimo tego, że wojna libańska nie do końca była udana. Bardzo czekam na dzień, kiedy zostanie oczyszczony z zarzutów.

Współpraca Katarzyna Zuchowicz

Rzeczpospolita, rp.pl » Wiadomości » Plus Minus » » Rzec na Nowy Rok

Alfabet Szewacha Weissa - dokończenie

Katarzyna Zuchowicz , Szewach Weiss 31-12-2009, ostatnia aktualizacja 31-12-2009 14:05 autor zdjęcia: Bartłomiej Zborowski, źródło: Fotorzepa, Szymon Peres źródło: AFP

Ichhak Rabin, źródło: archiwum szewacha Weissa

Irena Sendlerowa z autorem – Szewachem Weissem , +zobacz więcej

Największy przyjaciel Polski wśród izraelskich polityków, wspomina ludzi, którym zawdzięcza życie i ważne chwile swojej kariery publicznej

Alfabet Szewacha Weissa

Szymon Peres

Wiecznie młody, wiecznie elegancki, wiecznie pełen energii. A ma 86 lat! – Szimon, jak ty to robisz? Jak ty żyjesz? – pytałem. – To pewnie sprawa natury – odpowiedział, ale zaraz zdradził mi swój sekret. Codziennie wstaje o piątej rano i w domu robi gimnastykę. Przed pracą pije herbatę i czyta gazety. – A w pracy między 12 a 13 robię sobie półgodzinny odpoczynek na sofie. Pracuję do wieczora, usypiam z książką – opowiadał.

Odsypia w samolotach. W tym sensie każdy lot jest u niego wykorzystany do maksimum. Zasypia natychmiast, jak wejdzie do samolotu, a czasem trzeba go budzić w trakcie lądowania. Śpi całą drogę, czego nieraz byłem świadkiem. Kiedy lecieliśmy razem do Oslo na wręczenie Pokojowej Nagrody Nobla, którą odbierał z Rabinem i Arafatem, też zasnął. – Wiesz co Szewach? Będziemy opowiadać sobie dowcipy – powiedziała jego żona Sonia, która siedziała obok mnie i dobrze mówiła w jidysz. Ale zaraz dodała: – Zobaczysz, nawet jak będziemy się głośno śmiać, to on i tak się nie obudzi.

Pochodzi z polskiego Wiszniewa, który dziś znajduje się na Białorusi. Nigdy nie miał czasu skończyć wyższej uczelni. Ale jest bardzo zdolny, mądry i inteligentny. Przeszedł wszystkie szczeble kariery. Gdy miał 29 lat, został najmłodszym w historii Izraela dyrektorem generalnym w Ministerstwie Obrony. W czasie wojny o niepodległość kupował broń w USA i we Francji. Stworzył przemysł lotniczy w Izraelu, a jeśli to prawda, że – jak mówią – Izrael ma broń jądrową, to śmiem twierdzić, że stoi za tym Peres. Był sekretarzem Partii Pracy, ministrem transportu, skarbu... W 1965 roku inflacja wynosiła 625 procent, a on przez dwa lata obniżył ją do 6! Potem był szefem MSZ, premierem, dziś jest prezydentem.

– Szymon, jak ty to robisz? – pytałem. – Wiesz co Szewach, na najwyższych stanowiskach administracyjnych jest potrzebny człowiek, który zna historię i łacinę, ale zupełnie nie zna się na żadnej sprawie, w której działa, bo to tylko zawracanie głowy. Za to używa swojego naturalnego rozumu i prowadzi wszystkie sprawy tak, jak żydowska matka prowadzi dom – powiedział.

Bardzo nie lubił się z Icchakiem Rabinem. Obaj rywalizowali o przywództwo w Partii Pracy. A ja chyba byłem jedyną osobą, która z obu miała dobre stosunki i nieraz byłem kurierem między nimi. Pamiętam podróż do Waszyngtonu w 1994 roku, kiedy lecieliśmy wszyscy, by z królem Jordanii Husajnem podpisać deklarację pokojową. Dziesięć godzin podróży, oni siedzą pięć metrów od siebie i żaden nie odezwie się ani słowem. Podeszedłem do Rabina i pytam, czy mogę coś zrobić. Słyszę odpowiedź, że nie. Podeszedłem do Peresa. – Szymon, co robimy? Będziemy rozmawiać ze wszystkimi, z prezydentem USA, z królem Jordanii, a wy między sobą nie? Może wyślesz Rabinowi jakąś karteczkę? – spytałem.

– A dlaczego miałbym to zrobić? – spytał.

W Białym Domu pomogło wino. Podnieśli kieliszki, atmosfera się rozluźniła.

Rok później, w nocy 4 listopada 1995 roku, kiedy w Jerozolimie kończyła się wielka pokojowa demonstracja, na którą przyszły setki tysięcy ludzi, Rabin i Peres zaprosili piosenkarkę, która wykonała piękną pieśń o pokoju.

Obaj stali obok siebie, każdy dostał kartkę ze słowami. Peres śpiewał niezłe. Rabin miał precyzyjny głos, ale śpiewać nie umiał. Gdy zeszedliśmy ze sceny, widziałem, jak Rabin położył rękę na ramieniu Peresa.

Pięć – siedem minut później Rabin został zamordowany. W kieszeni jego marynarki znaleziono kartkę ze słowami pieśni pokojowej i ze śladami jego krwi. O drugiej w nocy rząd postanowił, że Peres zostanie nowym premierem.

Icchak Rabin

– To ja jestem waszym swatem! – wykrzyknął, gdy po wielu latach opowiedziałem mu, że miał swój udział w tym, jak poznałem swoją żonę. Był 1992 rok, byłem już przewodniczącym Knesetu i uczestniczyłem w spotkaniu, które odbywało się w mieszkaniu Rabina. Do dziś pamiętam tamten adres w Tel Awiwie – ulica Asi 5. Od tamtej rozmowy Rabin po prostu zakochał się w mojej Ester.

Prawie 40 lat wcześniej służyłem w izraelskiej armii. Byłem oficerem ds. kulturalnych, a Rabin był generałem, jednym z najmłodszych w Izraelu. Pewnego dnia w 1956 roku ogłoszono alarm. Przez dwa miesiące musieliśmy zostać w bazie, nie mogliśmy wyjechać na weekend do domu. Wtedy generał Rabin wezwał mnie do siebie i

kazał zorganizować Wielkanoc. – Zrobisz wszystko, żeby wieczorem odbył się jakiś wesoły program. Wybierz, kogo chcesz – powiedział.

Już wtedy miałem plan i wiedziałem, kogo zaproszę. Na służbę do naszej jednostki przyjechała wówczas Ester Kachanowicz – miss izraelskiej armii, której twarz pojawiła się na okładce tygodnika armii „Bamma Hanne” (W obozie). Była przepiękna i wszyscy zaczęli się koło niej kręcić. To ciekawe, ale – według różnych badań – armia jest najważniejszym swatem w Izraelu. Więcej niż połowa par spotkała się w armii.

I wtedy poprosiłem Ester, żeby przeczytała wiersz. Trzy lata była moją narzeczoną. Razem przeżyliśmy 49 lat. W 1968 roku, gdy Partia Pracy podzieliła się na obóz Rabina i Peresa, stanąłem po stronie Rabina. Potem w 1980 roku, gdy nie było wiadomo, który z nich zostanie premierem, choć popularniejszy był Peres, odwiedziłem Rabina w biurze. – Idę z tobą. Przyszedłem, żeby popelnić z tobą polityczne samobójstwo – powiedziałem. Był bardzo szczęśliwy.

Przegrywał z Peresem do 1992 roku, kiedy to on został kandydatem na premiera i nagle wielu zapragnęło przejść na jego stronę. Przyjmował wszystkich. Miał dobre serce, bo myślał tylko o pokoju z Palestyńczykami. Pewnego dnia spytał: – Szewach, a ty kim chcesz być? Byłbyś dobrym ministrem edukacji albo ministrem ds. parlamentarnych.

– Wiesz, ja chcę być przewodniczącym parlamentu – odpowiedziałem.

– To będziesz – rzekł.

Pod koniec lipca mieliśmy przedstawić w parlamencie nowy rząd. Ponieważ nie było jeszcze przewodniczącego, posiedzenie miał prowadzić najstarszy deputowany. I padło na Rabina. – Szewach, pomóż. Rządem już kierowałem (w latach 70. – przyp. red.), ale parlamentem jeszcze nie – prosił. Ja byłem już wiceprzewodniczącym Knesetu, więc mu pomogłem.

Uczyliśmy się systemu parlamentarnego u niego w domu. Był wspaniałym uczniem, chciał wszystko wiedzieć. Już nawet ja mówiłem: – Zostaw, to tylko uroczystość.

Ale on nie słuchał, pytał o wszystko. Fantastycznie poprowadził tamto posiedzenie. A ja wygrałem głosowanie na przewodniczącego, choć nie było to takie oczywiste. Nieoczekiwanie jednak poparło mnie ośmiu posłów z partii Rafi, którzy stwierdzili: – Był bardzo dobrym profesorem. Lubimy go.

– Ooo, warto być profesorem – zażartował Rabin.

Dostałem też głosy ortodoksów. – Pochodzę z Drohobycza, a on z Borysławia. Chcemy, żeby Galicyjczyk stał na czele parlamentu – tłumaczył rabin Szapiro.

Cała sala się śmiała. A Rabin powtarzał potem: – Ten Szewach jest profesorem, pochodzi z Galicji i dostał więcej głosów niż ja.

Był bardzo dowcipny. I rudy. A w Izraelu rudy to mądry i ma dobre serce, choć jest twardy. Bez przerwy palił papierosy. Dzień i noc. I nie chciał podpisać ustawy zakazującej palenia w miejscach publicznych, która była przesadzona. – Ja bez papierosa nie mogę pracować! Zabierają mi zdolność do pracy! Ja nie mogę tego podpisać – powtarzał i poprosił mnie o pomoc. Spojrzeliśmy w jego kalendarz. Był poniedziałek. W czwartek wylatywał z Izraela. – To sprawa załatwiona. Peres cię zastąpi i on podpisze ustawę – powiedziałem. I tak się stało.

4 listopada 1995 roku zapaliłem mu ostatniego papierosa. Byliśmy wtedy na pokojowej demonstracji na placu Królów w Tel Awiwie. – Szewach, zapal mi papierosa – poprosił. Chwilę później został zastrzelony. Do dziś mam tę zapalniczkę.

Irena Sendlerowa

Ja po prostu na nią napadłem. Ścisnąłem tak mocno! Trwało to może pięć, sześć minut... Zobaczyłem w niej moją panią Lasotową, panią Potężną, Góralową – wszystkich, dzięki którym żyję i którym za to, że ukrywali żydowską rodzinę, mogła grozić kara śmierci.

A Irena Sendlerowa uratowała 2,5 tysiąca żydowskich dzieci. Kierowała podziemną organizacją, która powstała tylko w jednym celu – by ratować Żydów. Nigdzie w Europie nie było drugiej takiej Żegoty! To było najwyższe bohaterstwo.

Odwiedziłem ją w 2002 roku, w domu opieki przy klasztorze Ojców Bonifratrów w Warszawie. W jej małym, skromnym pokoiku pełnym książek, gazet, magazynów. Tak wielka, przecudna kobieta w tak skromnym miejscu. Siedzieliśmy obok siebie dwie godziny. Bardzo blisko. Rozmawialiśmy o Izraelu. To był trudny czas, trwała druga Intifada. Ale Irena Sendlerowa doskonale była zorientowana. Myślałem: – Mój Boże, kobieta, która ma już tyle lat, tak dobrze się zna! Tak pięknie zna historię Izraela i narodu żydowskiego. Chyba miała lzy w oczach.

Zadałem kilka banalnych pytań. Dlaczego pomagała żydowskim dzieciom. Po co to robiła. Jak. – Już tyle razy o tym mówiłam, choć szczerze mówiąc, zawsze krótko. Ale nie powiem panu więcej – powiedziała. Dodała, że tak czuła, że niszczone są wszystkie wartości ludzkie. – Jako człowiek, pielęgniarka, nauczycielka, kobieta nie mogłam być obojętna – powiedziała.

W tamtych czasach obojętność to była nieludzkość. Jest mało takich, którzy są człowiekiem, gdy nie ma ludzi.

To było nasze jedyne spotkanie. Na pożegnanie też mocno ją uściskałem. Czułem się tak, jakbym wychodził ze świątyni sprawiedliwości. Bo ile jest dziś dzieci na świecie, które ona uratowała? Co najmniej 15 tysięcy. Przecież doszły kolejne pokolenia! Dlatego działalność Ireny Sendlerowej trwa nadal. Bo rodzą się dzieci i wnuki tych, których ona uratowała.

Donald Tusk

„Spotkałem człowieka młodego, który ma przed sobą wielką przyszłość” – napisałem instynktownie w 2002 roku, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. On był wtedy wicemarszałkiem Sejmu i nie było żadnych politycznych przesłanek, które pozwalałyby przypuszczać, jak potoczy się jego życie. A ja byłem ambasadorem w Polsce i zapraszałem do siebie liderów różnych partii politycznych. Notatki z tych spotkań wysyłałem do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Izraelu.

Tamta nasza rozmowa nie była wyjątkowa. Ot, zwyczajna, jak inne. Rozmawialiśmy o stosunkach polsko-izraelskich, o nim, o mnie. Ale cały czas patrzyłem w jego oczy. Wiedziałem, że interesuje się piłką nożną. Ja też. Więc zacząłem rozmawiać o piłce polskiej i izraelskiej. Opowiedziałem mu też, że w Polsce przedwojennej mieliśmy organizacje sportowe Makabi, a w 1932 roku została zorganizowana pierwsza żydowska olimpiada. Ekipa polskich Żydów była na niej najlepsza, dostała najwięcej medali.

Spotykaliśmy się potem kilkakrotnie w Sejmie. – Myślę, że ma pan instynkt – powiedziałem mu, bo wyczuwałem jego wewnętrzne przywództwo. A potem, gdy już został premierem, spotkaliśmy się w Izraelu, dokąd przybył z oficjalną wizytą. Był do niej doskonale przygotowany. Gdy ktoś odnajdzie tę moją notatkę z 2002 roku, zobaczy, że miałem intuicję.

Rami Ungar

Przez lata był jednym z najważniejszych izraelskich biznesmenów na świecie. W którymś momencie wybrał sobie Polskę. I zaczął tu budować okręty. W Gdyni wybudował ich 16. W 2007 roku chciał nawet kupić akcje stoczni. Zainwestował w nią ponad półtora miliarda dolarów.

Do Polski przyjeżdżał swoim prywatnym samolotem. Ogromnym charakterem zabierał ze sobą polityków, aktorów, śpiewaków. Znał wielu ludzi, był blisko związany z bohemą Izraela. Wodowanie każdego statku było dla niego wielkim świętem. Był wtedy taki szczęśliwy! Za każdym razem zapraszał też ambasadora Izraela.

Podczas jednego wodowania postanowiliśmy wspólnie, że na uniwersytecie w Tel Awiwie stworzymy fundację, która zajmie się badaniami nad stosunkami polsko-izraelskimi. Natychmiast pobiegliśmy do Marka Siwca i ustaliliśmy, że fundacja będzie nosić imię Aleksandra Kwaśniewskiego i że będzie dawać stypendia studentom, którzy będą chcieli prowadzić badania. Potem już poszło szybko. Podpisaliśmy umowę z rektorem uniwersytetu i w półtora miesiąca stworzyliśmy fundację, która wydała kilka książek, organizuje konferencje. Ungar przekazał na jej rzecz 1,2 miliona dolarów.

Ale później coś się zmieniło. Nagle zaczęli go krytykować. Mówiono, że Żyd chce kupić stocznię w Gdyni. On nie rozumiał, co się dzieje. – Szewach, popatrz, co oni robią? Ja mam takie dobre stosunki z Polską. Moja mama pochodzi z Polski, stworzyłem fundację

– mówił. Jego mama była Polką, ojciec Węgrem. Poznali się w Auschwitz. Rami urodził się już na Węgrzech. Pamiętam, jak w najlepszych słowach opowiadał o polskich inżynierach i robotnikach. Wiedział, co mówi, bo miał porównanie – statki budował też m.in. w Niemczech i Holandii. Po roku postanowił, że przenosi swoje inwestycje do Wietnamu i Korei Południowej.

Mieliśmy ogromnego pecha. Ja nie czułem w Polsce antysemityzmu. On odchodził stąd z poczuciem, że antysemityzm uniemożliwił mu tu dalszą pracę.

Piotr Voelkel i jego rodzina

Jak patrzę na nich, to tak widzę polską szlachtę. Tak wyobrażam ją sobie z literatury. Wspaniała, normalna rodzina. Elita, obok której chce się żyć. Mogę zrozumieć Żydów w XIX czy XX wieku, którzy zblizali

się do polskich rodzin, bo dla nich było to okno na świat polskich tradycji.

Poznaliśmy się w Poznaniu w 2004 roku, gdy Piotr zaprosił mnie na spotkanie do restauracji. Promowałem wtedy moją książkę. I rodzina Voelkelów zrobiła mi niespodziankę. Przeczytali książkę pt. „Ziemia i chmury”, o tym, jaka była kuchnia mojej mamusi, i zamówili takie same dania! A zatem był biały obrus, świeczka w skromnym, dwuramiennym lichtarzu, barszcz, rosół z domowymi makaronami, karp po żydowsku, kapuśniak po polsku i żydowsku, pierogi po naszymu i kompot po naszymu. To wcale nie była dietetyczna kolacja, ale mi bardzo się podobała.

Przy stole siedział ojciec Piotra, pan Zenon, weterynarz, jego mama Monika, ekonomistka, żona Ania i on. Piotr jest inwestorem, biznesmenem, ale bardzo ciekawi go kultura i muzyka. To z jego inicjatywy powstała moja książka pt. „My Żydzi”. Kolejna wyjdzie niebawem.

Od tamtego czasu raz na pół roku spotykamy się w jego mieszkaniu w Poznaniu. Ania i Piotr, choć są zamożni, mają skromne mieszkanie. Jego rodzice mieszkają obok. Ale mają też działkę i drewniany domek nad Wartą. Również skromny. Mają jednak wielką bibliotekę muzyczną. To prawdziwy dom sztuki, choć jego właściciel jest biznesmenem.

Pojechaliśmy nad Wartę w Nowy Rok. Obecny był też dominikanin Tomasz Dostatni. I tam zrobiliśmy wspólne ekumeniczne miejsce modlitwy i odprawiliśmy mszę. Nad Wartą mają zrobione takie zadaszenie na czterech słupach. Stoi cały czas.

Lech Wałęsa

W 1990 roku miał ostrą kampanię na prezydenta, w której pojawiały się antysemickie akcenty. Jako wiceprzewodniczący Knesetu na łamach gazety „Maariv” napisałem wtedy list otwarty do Wałęsy. „Pańskie oświadczenie, że jest Pan »stuprocentowym Polakiem«, budzi najgłębsze oburzenie swoją antysemicką wymową. Chcę żywić nadzieję, że nie całe 100 procent Polaków pogrążonych jest w mrokach antysemityzmu” – pisałem.

List został przetłumaczony na język polski. Ambasada Izraela w Warszawie bardzo szybko otrzymała informację, że Wałęsa chce się ze mną spotkać. Rzeczywiście przyjechałem wkrótce potem do Warszawy na zaproszenie Bronisława Geremka, na spotkanie Rady Europy.

Zabrałem ze sobą moją córkę Ifat, która jest historykiem. Był też z nami deputowany Uzi Landau. Wtedy Wałęsa przysłał po nas swoją limuzynę, która zawiozła nas do biura „Solidarności” w Gdańsku.

Czekaliśmy na niego. Trochę się spóźniał, bo telewizje z całego świata chciały z nim rozmawiać. I nagle wszedł – w brązowym garniturze, luźnym krawacie. I w kapciach. – Przepraszam bardzo, boła mnie nogi. A te wywiady odbywają się na siedząco, nikt nie widzi moich kapci – powiedział.

Od razu mi się spodobał. – To mój człowiek – pomyślałem.

Ale zaraz powiedziałem mu, dlaczego napisałem tamten list.

– Panie profesorze, pan się myli – mówił. I zaczął tłumaczyć, że nie jest antysemitą. Że gdyby był Żydem, byłby najdumniejszym człowiekiem na świecie. – Codziennie wychodziłbym z flagą izraelską na ulice. Wasz naród tak ucierpiał, a po Zagładzie dokonaliście cudu. Zbudowaliście demokratyczne i silne państwo – mówił.

I zapowiedział, że jak zostanie prezydentem, przyjedzie do Izraela. – Wygłoszę taką przemowę w Knesecie, że przejdzie do historii Izraela i Polski – obiecał.

I dokonał tego. Miał ważną przemowę w Knesecie. Od tamtej pory jesteśmy przyjaciółmi. Ostatnio byłem w Gdańsku na jego 66. urodzinach.

Zygmus

Prace nad budową Muzeum Historii Żydów Polskich trwają od 20 lat, ale dopiero gdy on się do nich wziął, nabrały olbrzymiego tempa. Dziś stoi na czele rady muzeum w USA i wnosi ogromnie pozytywną energię dla tego projektu. Również finansową. Zygmunt Rolat – dla mnie przyjaciel Zygmus i dlatego chciałem, żeby został umieszczony pod literą Z – pochodzi z Częstochowy, gdzie w czasie wojny stracił całą rodzinę. To święte miasto dla Polaków, ale właśnie tam, gdzie mógł pojawić się antysemityzm, stosunki Żydów i Polaków były bardzo pozytywne. Do dziś związany jest z Częstochową, stał się patronem tamtejszej kultury. Wszystkie pomniki, cała polityka historyczna prowadzona w Częstochowie jest z nim związana.

Po wojnie wyjechał do Francji, potem do USA. Dziś mieszka w Nowym Jorku i jest jego honorowym obywatelem. Jest adwokatem, biznesmenem, kolekcjonerem sztuki. I rozdaje pieniądze. Wspomaga muzeum w Polsce, pomniki w Częstochowie, instytucje w Izraelu. A jednocześnie jest amerykańskim patriotą. Zawsze zastanawiałem się, po

której stronie by stanął, gdyby na boisku piłkarskim spotkały się drużyny Izraela, Polski i USA.

Pamiętam, jak siedzieliśmy razem całą noc i przygotowywaliśmy jego wystąpienie przed Kongresem. Zygmus miał zainteresować Amerykanów muzeum Żydów i zyskać ich pomoc. Rozmawialiśmy wtedy o wpływie żydowskiej kultury na amerykańską, który jest ogromny. Żydzi z Polski mają bardzo duży wkład. Ilu naukowców z Polski dostało Nobla! Mówiliśmy o smutnych stronach historii żydowskiej i o humorze żydowskim. Doszliśmy nawet do Woody’ego Allena. To była wielka noc przed jego wystąpieniem w Kongresie.

W październiku obaj spotkaliśmy wiceprezydenta USA Joe Bidena, który przybył z wizytą do Polski. Pod pomnikiem Bohaterów Getta składał wieńce. I on przypomniał Zygmusiowi tamtą przemowę w Kongresie! I swojej wnuczce zaczął opowiadać to, co usłyszał od Zygmunia.

Poznaliśmy się, gdy byłem dyrektorem Yad Vashem, ale pierwszy raz rozmawialiśmy, gdy byłem już ambasadorem w Polsce. Zawsze gotów do pomocy. Pamiętam, że podczas wojny libańskiej zadzwonił do mnie i spytał, jak można pomóc Izraelowi. Opowiedziałem mu o dzieciach, które muszą siedzieć w schronach. Natychmiast przekazał dużą sumę pieniędzy, za które kupione zostały różne rzeczy niezbędne dla dzieci.

Pierwszą część „Alfabetu Szewacha Weissa” opublikowaliśmy w „Rzeczy na Święta” 24 grudnia 2009 r. Całość dostępna na rp.pl/plusminus